

# Idealne czy powszechne?

Tzw. rolnictwo ekologiczne coraz częściej uświadamia mi, jak wielki rozdźwięk istnieje między ideałami i praktycznymi pomysłami „zielonych” a sytuacją i odczuciami reszty społeczeństwa. Mam znajomego, który przebywał przez jakiś czas w Stanach Zjednoczonych, otrzymując tam całkiem przyzwoitą pensję, wyższą niż przeciętny Amerykanin. Człowiek ów, całkowicie przekonany do ekologicznych ideałów, powiedział mi, że w zasadzie niemożliwe było, aby swoją dietę oparł na produktach z eko-gospodarstw rolnych. Z prostej przyczyny: nie było go na to stać.

Działo się to w społeczeństwie zamożnym, gdzie udział wydatków na żywność w ogólnym budżecie jednostek czy rodzin jest stosunkowo niski. Mimo to, wyższa o 40-200% cena „zdrowej żywności” skutecznie ograniczała owej osobie zakup takich produktów w ilości odpowiedniej, aby stanowiły one nawet nie całość, lecz większość diety. Łatwo dostrzec, że w przypadku osób o niższych dochodach byłoby z tym jeszcze gorzej.

Oczywiście wiem, że tzw. tania żywność jest w rzeczywistości droga. Oznacza mnóstwo kosztów dodatkowych, których nie ponosi producent, lecz przerzuca je na innych – ludzi lub środowisko. Za tanią żywność płacimy dodatkowo z podatków, ponosząc koszty zanieczyszczeń, degradacji gleb i zasobów wodnych itp. Płacimy też bezpośrednio – bo „tania” oznacza na ogół „byle jaka”, w sensie odżywczym, zdrowotnym itp. Sam często mówię miłośnikom tanich produktów spożywczych, że to, co zaoszczędzą przy sklepowej kasie, wydadzą później w aptece.

Co więcej, bzdurna jest sama ideologia obniżania kosztów pożywienia. To, co spożywamy, jest tak ważnym składnikiem nas samych – zdrowia, dobrej kondycji, samopoczucia – że pęd ku cięciu kosztów tej „inwestycji” wydaje się daleko posuniętym absurdem. Jedząc tanio, czyli byle co, popełniamy samobójstwo na raty, a w najlepszym razie wyrządzamy sobie mniejszą lub większą krzywdę. Produkty żywnościowe są jedną z ostatnich rzeczy, na których można oszczędzać. Nie tylko mam tego świadomość, ale i wcielam to w życie – połowę pensji wydaję na żywność, nie mając za to samochodu, telewizora i kilkadziesiąt innych rzeczy, które większości wydają się niezbędne.

Świadomość tego nie zmienia faktu, iż krytycznie spoglądam na sektor tzw. rolnictwa ekologicznego. Na pierwszy rzut oka ma ono same zalety. Produkuje żywność smaczną, zdrową, pełnowartościową, nie niszcząc środowiska naturalnego, racjonalnie wykorzystując zasoby, dając więcej miejsc pracy, chroniąc różnorodność biologiczną. Wydawałoby się, że trudno o coś bardziej godnego poparcia. Tzw. żywność ekologiczna święci dziś triumfy. Jest w menu modnych restauracji, rozpisują się o niej pisma kobiece i magazyny promujące uroki high-life'u, wkroczyła na półki hipermarketów, coraz częściej staje się przedmiotem zakusów wielkich koncernów spożywczych. No i pięknie, wypada tylko przyklasnąć takiemu stanowi rzeczy – ekorolnicy zarabiają na produkcji bez chemii, środowisko jest mniej obciążone, ileś osób odżywia się zdrowo.

Są jednak dwa problemy. Wciąż trzeba przypominać prostą, lecz dla wielu niezrozumiałą prawdę, że żywność ekologiczna to wyłącznie ta produkowana i spożywana lokalnie. Jeśli jabłko czy seler powstały bez chemii, lecz wieziono je przez setki kilometrów, spalając benzynę, zużywając surowce na opakowania, tracąc prąd na przechowywanie w odpowiednich pomieszczeniach, to tak naprawdę nie jest to żadna ekologia. Mniejszym obciążeniem dla środowiska jest seler czy jabłko wyprodukowane z użyciem nawozów i pestycydów, ale po sąsiedzku, dowiezione do sprzedaży z odległości nie kilkuset, lecz maksymalnie kilkadziesiąt kilometrów. Ten aspekt mało kogo z konsumentów obchodzi, bo ekorolnictwo służy dziś głównie zaspakajaniu egoistycznych, zdrowotnych potrzeb określonej grupy ludzi, nie zaś poszanowaniu ekosystemu. To samo dotyczy wegetarianizmu. Chce mi się śmiać, gdy wysłuchuję argumentów, że wegetarianizm sam w sobie jest bardziej ekologiczny niż produkcja mięsa. Cóż, kawałek szynki kupionej w lokalnej masarni, z mięsa

świń hodowanych w tym samym województwie, jest znacznie bardziej „przyjazny” dla środowiska niż np. produkty sojowe, bazujące na surowcu przywiezionym z Brazylii czy Argentyny (te kraje są głównymi dostawcami soi na rynki europejskie).

Ale to nie wszystko. Droższą żywność ekologiczną może zakupić tylko garstka bogatszych konsumentów – tym mniejsza, im mniej zamożny jest dany kraj. W Polsce, gdzie większość ludzi ma pensje – jeśli w ogóle ma – na poziomie kilkuset czy półtora tysiąca złotych, ekoroelnictwo będzie służyło głównie wybrańcom z finansowej „górnej półki”.

Warto bez owijania w bawełnę naświetlić jeden trend. Stałemu wzrostowi powierzchni upraw ekologicznych i wartości sprzedanych eko-produktów towarzyszy coś zupełnie przeciwnego – stały wzrost olbrzymich, totalnie schematyzowanych farm. Rośnie ilość sklepów ze zdrową żywnością i oferta ich produktów. Rośnie też ilość – nazwijmy po imieniu – syfiastego żarcia o smaku wody i tektury. Jest więcej ekogospodarstw i przetwórní takiej żywności. Jest też więcej monokultur rolnych, ciągnących się po horyzont upraw nafaszerowanych chemią, a wkrótce także zapewne organizmami modyfikowanymi genetycznie. Elity kupują zdrowe i smaczne marcheweczki, każda z pięcioma certyfikatami – plebs nabywa bezwartościowe, szkodliwe obrzydlistwa, które nie przypominają normalnych produktów ani wyglądem, ani smakiem.

Każde gospodarstwo ekologiczne to dobrodziejstwo. Ale używając analogii, można to porównać do systemu ochrony przyrody. Wiemy, że im więcej parków narodowych i rezerwatów, tym lepiej. Jednak od dawna wiemy też, że żaden park i rezerwat nie ma na dłuższą metę sensu, gdy otoczony jest obszarami zdewastowanymi, zabudowanymi i pozbawionymi różnorodności biologicznej. Tak samo jest z eko-rolnictwem.

Walka nie toczy się o to, czy będzie wzrastała liczba i areał takich upraw, czy będą one miały idealny charakter i po sto regulacji „czystości” każde. Walka toczy się o to, czy przetrwa jak najwięcej gospodarstw przeciętnych, używających chemii i maszyn w rozsądnych ilościach. Bo jeśli one nie przetrwają, to cała ekologiczność garstki pozostałych upraw niczego nie zmieni. Ekologiczna żywność będzie wówczas tylko i wyłącznie kwiatkiem u kożucha destruktywnego, kosztownego agrobiznesu, szkodliwego dla przyrody i ludzi. Będzie dobrym biznesem dla producentów obsługujących garstkę zamożnych, snobistycznych konsumentów – i niczym więcej. I właśnie o tym warto pamiętać na zakupach.

Remigiusz Okraska